

PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 49 (218)

WARSZAWA

9 GRUDNIA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO - SPOŁECZNY

TRĘŚĆ

KAROL IRZYKOWSKI — HUMOR I METAFIZYKA W TEATRZE NARODOWYM
WOJCIECH NATANSON — TEATR I KRYTYKA
KONRAD WINKLER — RUSZCZYC
M. MORSTIN-GORSKA — TWÓRCZOŚĆ
ADOLF RUDNICKI — GHETTO

ZYGMUNT JAKIMIAK

ŚWIEŻA FILOZOFIA

O MYŚLI FILOZOFICZNEJ AUGUSTYNA JAKUBISIĄKA

Ogólne zainteresowanie się filozofią jest dzisiaj słabsze, niż kiedykolwiek przedtem. Jest to usprawiedliwione, choć tylko częściowo, upadkiem samej filozofii. Bo gdy do miana filozofów — i to pierwszego rzędu — zaczęli pretendować ludzie, pozbawieni wszelkich po temu kwalifikacji, jak nieodpowiedzialny literat Nietzsche, jak narwany historyk Schopenhauer, jak zaprzeczający rzeczywistości abstrakcjonista Hegel lub Kant — to nie dziwnego, że się czytelnicy w końcu zniechęcili.

Wszelako to zniechęcenie ma i musi mieć skutki jak najgorsze. Bo filozofia, to nie innego jak uporczywa praca myśli w poszukiwaniu prawdy. Przez poznanie zaś prawdy i praktyczne życie stanie się coraz to prawdziwsze. Coż może być cudowniejszego nad życie w prawdzie?

Tylko przez zajmowanie się filozofią można zorientować się w chaosie systemów, jaki w jej dziedzinie panuje, i wybrać sobie najwłaściwszy. Przyjrzyjmy się tedy, jak ta sprawa przedstawia się w Polsce. Z jednej strony mamy najliczniejszych i najgłośniejszych logistyków, którzy właściwie filozofami nie są, bo zagadnienia istotnie filozoficzne zgola ich nie interesują. Zajmują się oni tylko t. zw. ścisłością formy. Przypisać też należy, że w tym formalizmie zostawili za sobą daleko nawet osławionych schyłkowców scholastyki. Toteż całe szczęście, że zamiast języka ludzkiego używają formulek wyższej matematyki. Dzięki temu mamy dziś w Polsce więcej profesorów niż słuchaczy i czytelników logistyki. Jest to typowy przykład litery, która zabija. Godzi się też wymienić i Brauna, który poświęcił tyle czasu, sił i pieniędzy na propagowanie w *Zecie* „absolutnego prawa tworzenia” Hoene-Wrońskiego. Jego pasja apostołska ma natężenie tak wyjątkowe, że można go tylko podziwiać z szacunkiem i... zazdrością. Jakże mało jest katolików, którzy by dali tyle z siebie... dla Chrystusa. Co za szkoda, że ten zapal jest z konieczności daremny! Braun jest, zdaje się, jedynym z ludzi (licząc w tym samego Wrońskiego), który pojął i zrozumiał „absolutne prawo tworzenia”.

A jak jest z filozofią katolicką? Czy rozplomienia ona najcięższe umysły — jak w średniowieczu — do tego stopnia, żeby aż było trzeba stalowymi kratami przedzielać dyskutujących? Czy daje pole do nowych, śmiałych prób w dziedzinie twórczości umysłowej? Nienależnością byłoby potwierdzać te pytania. Myśl katolicka utraciła zupełnie dawną śmiałość i brawurę. Ani się jej marzy o tym, by wyjść trochę odważnie poza św. Tomasza, a coż dopiero — spojrzeć krytycznie na jego poglądy! Wynika stąd ta absurdalna sytuacja, że ten święty, który poznaniu przyznawał pierwsze miejsce nawet przed dobrem, zdaje się swoją pracą uniemożliwiać dalsze poznanie, wszelką samodzielną,

oryginalną pracę myśli. Jego twórczość zabiła twórczość umysłową siedmiu stuleci, policzmy skromnie: dwudziestu pokoleń katolików. Czyżby naprawdę zdołał on wyzerpać całą prawdę, wykonać pracę umysłową za wszystkie pokolenia aż do końca świata? To się wydaje niemożliwe. Prawdą jest niewyczerpana i przed pracowitym a odważnym umysłem otwiera zawsze nieskończone możliwości. Neotomiści sądzą inaczej. Dlatego to, ograniczeni z własnej woli tylko do tomizmu — jak człowiek, który postanowił nie ruszać się poza granice własnego ogrodu, z konieczności chorują na wąskość horyzontów, przeżuwiają i rozcińczą już przetrute pokarmy.

Tomizm, jak to wszyscy wiedzą, zbudowany jest całkowicie na pogańskiej filozofii Arystotelesa. Jest on próbą związania w zwartą całość systemu pogańskiego z danymi Objawienia. Jest to nie innego jak łatanie nowym materiałem starych sukien. Między danymi Objawienia i metafizyką Arystotelesa są różnice tak istotne, że nie dadzą się one zatrzeć najsurowszymi spekulacjami. Ponieważ katolicy wyżej stawiają dane Objawienia od wszelkich doświadczeń umysłu ludzkiego, przeto należało wyjść z Objawienia i do niego starać się naciągnąć umysłową spuściznę pogan, nie zaś odwrotnie. Nie ma sensu chlubić

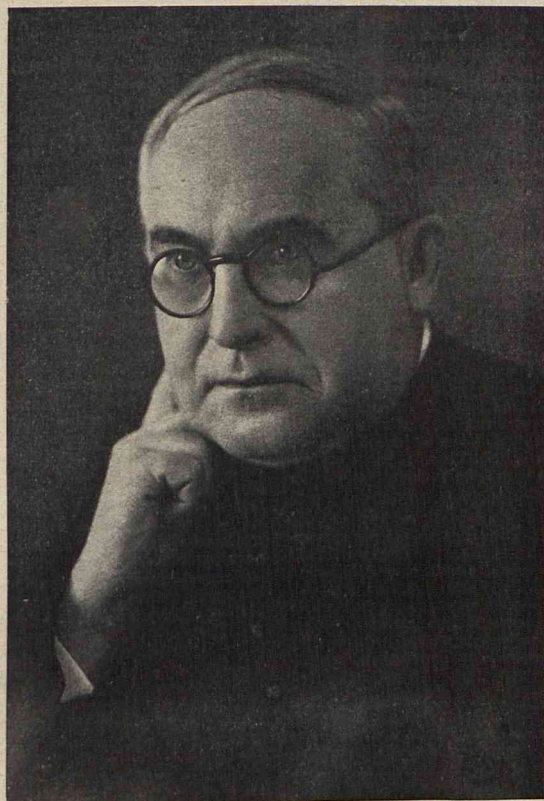
się tym, że św. Tomasz ochrzcił Arystotelesa: to było niemożliwe choćby dlatego, że Arystoteles żył pięć wieków przed Chrystusem.

Myśleć trzeba wytrwale, odważnie i z pokorą. Prawdą nie boi się myśli. Przeciwnie: żąda jej, wychodzi jej naprzeciw, pragnie jej się oddać. Toteż z całym uznaniem dla autorytetów możemy od nich to co osiągnęli i ruszyć z tym po dalsze zdobycze. Tylko w ten sposób poznamy prawdę i nauczymy się ją odróżnić od fałszu. Osiągniemy wówczas to, że nie będziemy oddawali holdów takim panteistom jak Bergson, co czyni ks. Pastuszka w całej książce jemu poświęconej. Trzeba żebymy katolicka inteligencja osiągnęła taką sprawność myślenia i taką wiedzę filozoficzną, żeby z łatwością mogła druzgotać najlepszych ateistycznych czy heretyckich sofistów.

Na razie do tego daleko. Młodzi katolicy bronią się tylko — wiara. W potyczkach umysłowych ulegają byle komu, tylko dzięki znacznej przewadze formalnego wyrobienia strony przeciwej. Nie wiedzą nawet o istnieniu zgola nowego, świeżego, oryginalnego, niepokalanie logicznego a zupełnie zgodnego tak z Pismem św. jak i z ostatnimi odkryciami nauki — systemu ks. Augustyna Jakubisiaka. Z tym właśnie systemem chce poznać czytelników niniejszy artykuł. Aby ocenić doniosłość tej, nareszcie katolickiej, filozofii — należy rozpatrzyć się w całości zagadnień filozoficznych. Bo ks. Jakubisiak wszedł do filozofii światowej z nie mniejszym hałasem, niż Kartezjusz czy Kant, przewracając i niszcząc wiele uznanych i solidnych pojęć, ba! całych systemów.

Nie ma nic przerażającego w wyrażeniu „całość zagadnień filozoficznych”. Jest tylko przerażająca ilość literatury filozoficznej. Problemów zaś filozoficznych mamy właściwie tylko trzy, a mianowicie: 1) czy umysł ludzki poznaje byty, znajdujące się poza nim; 2) jeśli tak — jaki jest mechanizm tego poznania, jego sposób, charakter; 3) jakie są istotne cechy bytów tak poznanych i ich wzajemne relacje (stosunki). — Nieskończona różnorodność systemów filozoficznych wynika tylko z mniej lub więcej drobnych różnic w odpowiedziach na te pytania zasadnicze.

Filozofem, który na pierwsze pytanie odpowiedział przecząco (tak!) był — do dziś uważany za jeden z najcięższych mózgów ludzkości, do dziś mający wielu zwolenników — Kant. Jego zdaniem, cała ludzka wiedza jest wytworem ludzkiego umysłu, nie zaś rezultatem poznania otaczającego nas świata. Nawet wiedza aptekarska, systematyka w botanice, wiedza rolnika zo-



AUGUSTYN JAKUBISIĄK

stała wytworzona, wymyślona przez człowieka. Jest to sławny aprioryzm. Jego powodzenie dowodzi, jak nawet przy braku rozsądku, dzięki pracy umysłowej, można owładnąć umysłami nieodpornymi. Cały aprioryzm przeżył przecież oczywistość.

Cała filozofia klasyczna z Grekami i scholastykami odpowiadała na pierwsze pytanie bardziej rozsądnie. Były są poznawalne. Różnice zaczynają się dopiero przy odpowiedziach na drugie pytanie. Cała scholastyka za Arystotelem twierdziła, że byty są poznawalne nie w konkretnie lecz w abstrakcji, t. zn. że umysł poznaje z bytu tylko to, co z bytu wyciągnął po wykonaniu pracy abstrahowania, po ogłośnieciu bytu z pierwotnych poznanych przedmiotów zmysłami. Poznane zmysłowe jest wstępne, przygotowawcze, umysłowe zaś jest wtórne, pośrednie. W ten sposób umysł poznaje tylko przymioty ogólne, wspólne bytom, nie zaś różniące je między sobą. To wyjaśnienie jest przyczyną wielu sprzeczności logicznych z dalszymi twierdzeniami tego kierunku i dało powód do wieki trwających sporów o uniwersalia. I tutaj właśnie leży zasadnicza różnica między systemem scholastycznym a systemem ks. Jakubisiaka.

Sprawa odpowiedzi na pytanie trzecie, najważniejsza, jest najbardziej skomplikowana. Scholastyki twierdziły, że byt jest niezmienny w czasie i różnicowany w przestrzeni, niejednorodny — tak że istnieją byty, nie byt. Systemy wschodnie — indyjskie, perskie, a także niektóre greckie (słynie „panta rei” Heraklita) i ogromna większość nowoczesnych — są zdania przeciwnego: byt jest jeden, nie różnicowany w przestrzeni, ulegający stałym zmianom, ewoluując, przekształcając się. Jest on zmienny w czasie, ciągły w przestrzeni. Rzeczy i przedmioty, których taką różnorodność obserwujemy, są tylko integralnymi częściami całości, pozbawionymi samości, zmieniającymi się w swej istocie. Nie ma tu miejsca dla wolnej, samodzielnej jednostki.

Nowe czasy, szczególnie po pracach Darwina, są świadkami absolutnego prawie panowania tego poglądu. Teoretyczne rozwinięte przez Kartezjusza, doskonale opracowane logicznie przez Spinozę, poparte pewnymi faktami nauk przyrodniczych — zawojujął prawie całkowicie umysłowość dzisiejsza, znajdując swoje ukoronowanie w systemie Bergsona, w którym ewolucja wyniesiona jest do godności boskiej, jak to zaznacza tytuł głównego dzieła tego filozofa: *Evolution créatrice — Twórcza ewolucja*. Ewolucja, która stwarza. Miarą wpływu ewolucjonizmu może być, w dziedzinie społecznej, komunizm — chcący zgładzić tędnę na beneficjusz społeczeństwa bezklasowego, jedności nie różnicowanej. I polityka uległa temu unitaryzmowi, czyli monizmowi. Teoria integralnego nacjonalizmu Hitlera jest właśnie monizmem. W dziedzinie religijnej ów ewolucjonizm i monizm nazwano panteizmem. Natura, wszechświat — to Bóg, którego drobna i nieistotna cząstka jest m. in. i człowiek. Widzimy, że system ten jest heretycki — z punktu widzenia katolickiego, — dywersyjny, defetystyczny, rozpaczliwy i burzycki — z punktu widzenia moralnego, społecznego i ludzkiego.

Siła atrakcyjna tych systemów jest tak wielka, że uległo im, nawet niewiedzącemu, wielu katolików. Nie trzeba dowodzić tego twierdzenia. Każdy z nas dotychczas znajdując się w całości lub częściowo pod tymi zgubnymi wpływami. Niebezpieczeństwo ogromne. Tomizm, który głosi poglądy przeciwnie, nie mógł ocalić Europy przed monizmem, bo sam jest częściowo monistyczny, gdyż daje fałszywą odpowiedź na pytanie drugie. Twierdził, że byt poznawany jest tylko ze swych cech abstrakcyjnych, ogólnych, wspólnych wielu rzeczom — to zarazem eliminować poznanie jednostki, zmniejszać znaczenie jej samodzielności albo jej przeżyć. Takie twierdzenie wiedzą wprost do panteizmu, monizmu i ewolucjonizmu. A że to są systemy sprzeczne z istotą chrześcijańskiego Objawienia, według którego jednostka jest wolna i warta krwi Syna Bożego — więc tomiści znaleźli się w niemiłym kłopotcie i przez siedem wieków nie umieli uzgodnić poznania zbiorowości ze różnicowaną rzeczywistością.

Drugą trudnością, nie mniej poważną, było przyjęcie równoległego w wieczności istnienia czasu absolutnego. Istnienie takiego absolutu pociągało za sobą konieczność przyjęcia jego wpływu na jednostkę, wpływu decydującego, który by ją przekształcał i zmienił dzięki absolutnej mocy wpływu okoliczności. Trzecią podstawową trudnością jest tomistyczne twierdzenie, że materia, która stanowi istotę indywidualności i jej konkretność, jest stale zmienna. Widzimy, że tomizm nie mógł sobie poradzić z monizmem, gdyż sam miał w sobie jego zarodki, niemożliwość do usunięcia bez zmiany własnych, z pogaiństwa przyjętych podstaw.

W takiej właśnie chwili pojawia się system zupełnie nowy, z niewidzianą mocą erudycji i logiki broniący praw i wielkości jednostki, jej niezmienności i samodzielności. Filozofię ks. Jakubisiaka można pokrótce streścić, w sposób najbardziej ogólny, według podstawowych pytań, następująco: 1) umysł ludzki poznaje byty, znajdujące się na zewnątrz niego; 2) poznaje je w konkretnie, bo tylko takie poznanie umożliwia postrzeganie jednostek-indywiduów. Umysł chwytwa w bycie przede wszystkim to, co go różni od innych bytów i co tylko dla niego jest charakterystyczne — obok cech ogólnych, wspólnych innym bytom. Dwa są równoległe, równorzędne, równoczesne rodzaje poznania: umysłowe i zmysłowe. Umysłem poznajemy istotę bytu, która właśnie jest niezmienna i odrębna. Zmysły zaś poznają naturę, przymioty bytu. Ponieważ zmysły są niedoskonałe i nie mogą objąć wszystkich cech naraz, a tylko postrzegają je stopniowo — wynika stąd złudzenie, jakoby byt był zmienny. Tu leży podstawowy błąd ewolucjonizmu. Jest on oparty na poznaniu wyłącznie zmysłowym; stąd wnioski o zmienności bytu. Ale nie bierzemy w rachubę poznania umysłowego, które koryguje zmysły. Przez to przeżył takim kardynalnym prawem logiki, jak prawo tożsamości, sprzeczności, wyłączonego środka i in. Mogą nam zmysły mówić co chcą — umysł zawsze nam powie, że starzec jest tą samą osobą, którą zaliśmy kilkadziesiąt lat temu jako dziecko. Świadcstwo dwu świadków jest dopiero prawdziwe.

Trzecia odpowiedź zawarta jest w drugiej: byt jest niezmienny, stały i różnicowany, nieciągły. Istnieją logicznie samodzielne. Wynika to, bardziej logicznie niż u tomiów, z poprzednich założeń. W tym miejscu godzi się wspomnieć o poważnej roli, jaką odgrywa w omawianym systemie liczby główne, całkowite. Liczba nie jest wcale abstrakcją stworzoną przez umysł ludzki. Jest ona rzeczywistością istniejącą niezależnie od niego. Matematyka jest nauką przyrodniczą, która bada te rzeczywistości. Liczba jest granicą bytu, nie abstrakcją, lecz konkretną. Ją to umysł chwytwa napierw w procesie poznania, proporcje i stosunki ilościowe.

Omówmy teraz ważne działy kwestii trzeciej.

1. Czas absolutny nie istnieje. Jego pojęcie jest tylko skutkiem niedoskonałości naszej uwagi, która tylko jedną rzecz może poznać naraz i to, co już poznała, nazwa przeszłością, to, co poznaje — teraźniejszością, to zaś, czego jeszcze nie poznała — przyszłością. Jest ona też skutkiem niedoskonałości naszych władz duchowych i cielesnych, przez co człowiek nie może spełnić naraz tego, co zamierza, ale w pewnym następstwie. To następstwo jest nie chronologiczne, tylko logiczne. To znaczy, że pewne fakty dzieją się nie dlatego, że istnieje czas, ale czas istnieje dlatego, że pewne rzeczy się dzieją. Przyczynowość jest nie skutkiem istnienia czasu, ale działaniem, wykonywanych z większą lub mniejszą energią przez byty, t. zn. mniej lub więcej doskonale. Ponieważ różne są stopnie doskonałości, a raczej niedoskonałości, przed każdym bytem ma swój własny czas. Stąd wniosek, a raczej definicja: czas jest względny, nie zaś bezwzględny — absolutny. Czas jest subiektywną funkcją obszaru, zajmowanego przez dany byt.

2. Każdy byt zajmuje pewne miejsce w ciągu całej swojej egzystencji. To miejsce, miejsce integralne, nieprzekraczalny z tej ani z drugiej strony jego granicy, jest obszarem, częścią przestrzeni będącą wyłączną własnością bytu i nie może być naruszona przez żaden inny byt. Na tym miejscu byt wykonywa całą swoją działalność. To miejsce integralne jest istotną, absolutną cechą bytu. W ten sposób przestrzeń odgrywa rolę decydującą w tym systemie, nie zaś trwanie, jak to jest we wszystkich innych. Trwanie, jak to się wyżej rzekło, jest tylko funkcją tego miejsca integralnego.

3. Ruch w sensie absolutnym również nie istnieje. Takie jego pojęcie jest sprzeczne z myślą, jak to już dawno wykazali Eleaci (paradoks o strzale, o Achillesie i żółwiu, itd.). Ale ruch jest zbyt rzeczywisty, oczywisty dla zmysłów, aby można było całkowicie przeżyć jego istnienie. Istnieje przeto tylko ruch względny, ruch na miejscu — oczywiście: na miejscu integralnym.

Te twierdzenia, mocno, logicznie i naukowo uzasadnione, zawarte są w fundamentalnym dziele *Essai sur les limites de l'espace et du temps*, nagrodzonym przez Akademię Nauk Moralnych i Politycznych. Kto choć trochę się orientuje w dzisiejszym stanie nauki, ten gotów jest pomyśleć, że system ten jest tylko wyciągnięciem

i uporządkowaniem wniosków z ostatnich odkryć fizyki, matematyki i nauk biologicznych. Można też pomyśleć, że są to również wnioski wysunęte z Pisma św. i z zwykłego zdrowego rozsądku. Pomimo całej swojej, wprost niepokojącej nowości, która z początku utrudnia nawet zrozumienie — filozofia ta, jako pierwsza, nosi w swej całości cechy rozsądku. Nie ma w niej ani jednej sprzeczności logicznej, ani jednej niezgodności z oczywistością.

Jest to pomnikad skutkiem przyjęcia właściwego sprawdzianu systemu. Nie jest to kantowski sprawdzian krytyczny. Krytycyzm rozumowi wobec samego siebie (krytyka czystego rozumu) jest próbą podobną do próby np. podniesienia w górę samego siebie. Rozum sam siebie krytykować nie może; nie może — z natury rzeczy — mierzyć wielkości, dosiężności, precyzyjności samego siebie. Metoda krytyczna prowadzi albo do zupełnego sceptycyzmu, albo do dogmatyzmu. I sam Kant przyjął najsurozeczniejsze dogmaty dla pozytywnej części swego systemu. Sam aprioryzm, jako na niczym nie oparty, jest zwykłym choć dziwacznym dogmatem.

Ks. Jakubisiak, przyjmując również pewne pewniki-dogmaty za podstawy swej filozofii, inaczej sprawdza ich prawdziwość. Oto patrzy, czy wszystkie, najdrobiazkie, najdalej szczerze jego metafizyki są z nimi zgodne, a z drugiej strony — czy są zgodne z rzeczywistością. Takie kryterium, najrozsądniejsze, było przecież lekceważone przez większość filozofów; nawet tomiizm — jak to już stwierdziliśmy — nie ustrzegł się poważnych niezgodności z własnymi podstawami. W całym omawianym systemie prawa logiki są najskrupulatniej przestrzegane, z drugiej zaś strony — szanuje on rzeczywistość, której najwyższym autorytetem jest nauka. Czytając dzieła ks. Jakubisiaka, jest się wprost zdumionym jego dokładną, drobiazgową znajomością wszystkich jej dziedzin; jej najnowszych odkryć i teorii.

System ten, jeszcze raz należy to podkreślić, jest jakby apoteozą wielkości i wartości jednostki, która w granicach swego integralnego miejsca jest absolutnym panem, jednostką, która sama sobie tworzy swój czas, która jest absolutnie stała i niezmienna. Przeciwiastwa się monizmowi: najkategorijczniej, wykazując jego rzeczownikowi kapitały i wprost konieczny błąd pomieszania podstawowych pojęć. Główny błąd monistów przypomina błąd człowieka, który by sądził, że napierw był stworzony zegarek, a potem dopiero jego części. Przyślali oni zbiorowości pierwszeństwo ontologiczne i większą wartość podstawową, niż jednostce. Tymczasem rzecz ma się odwrotnie: byt, jednocześnie ma wartość podstawową, pierwotną, absolutną — i dopiero stosunki między jednostkami wytwarzają całości, zbiorowości. Zbiorowość jest czymś wtórnym, jest wypadkową mniej lub więcej świadomego działania jednostek. Moniści (a więc komuniści, integralni nacjonalisci, totaliści i socjologowie) twierdzą że odwrotnie: zbiorowość jest bytem pierwotnym, z którego rodzą się jej organiczne części — jednostki. System ks. Jakubisiaka wykazuje z całym rozsądkiem wyrażalność i niematuralność takiego wytworzenia porządku rzeczy. Miejmy też nadzieję, że monizm jest tylko przejściowym, przelotnym kaprysem umysłowości współczesnej. Trudno o człowieka, który by częściej chodził do góry nogami, niż do góry głową.

4. Niepodległość i wolność jednostki została najmocniej utwierdzona w drugim, szczególnie temu zagadnieniu poświęconym dziele tegoż autora p. t. *La pensée et le libre arbitre*. Tym razem badaniu poddana została kwestia wolnej woli człowieka. Autor bada to zagadnienie we wszystkich dawnych i nowych systemach. Dwie są dotychczasowe koncepcje w tej sprawie: determinizm i indeterminizm. Po skrupulatnej analizie obu tych poglądów autor dochodzi do wniosku, że oba nadają się do odrzucenia, gdyż żaden z nich nie wytrzymuje konfrontacji z logiką i rzeczywistością. Niesposób iść w artykule śladem tych wszystkich rozróżnień, niezmierznie ciekawych i imponujących czytelnikowi chwytami polemicznych i brawury. Fałszywość obu tych koncepcji wynika zresztą z tych właśnie błędów, o których była mowa powyżej. Determinizm nas tu nie interesuje: jest on pelen logicznych i oczywistych sprzeczności. Autor zbija go po prostu samymi tezami nowoczesnej nauki. Natomiast indeterminizm — przyjęciem istnienia absolutnego czasu, porównywalnego z wiecznością, z drugiej — uznaniem racjonalności ludzkich sądów, z trzeciej zaś — przyznaniem wszechwładzy Boga, sprowadza się w gruncie rzeczy do determinizmu i przesączenia. Te właśnie konsekwencje wywołały

energiczną reakcję Duns Scota, którego zarzutów tomiizm nie odparł po dziś dzień.

Z tomiizmu najlogiczniej w świecie wynika herezja dominikana Banesa z jego dekretami boskimi, skazującymi ludzi z góry na potępienie lub zbawienie. Autor naszego systemu odrzuca więc obie koncepcje, a przeprowadza nową, własną, najrozsądniejszą, katolicką: istnieje autoterminizm. Człowiek sam o sobie stanowi, sam siebie określa; żadna zewnętrzna siła czy okoliczność nie wpływa decydująco na jego wolę. Z wielu celów i środków człowiek wybiera sobie coś, co decyduje o kierunkach i sposobie jego życia, o jego moralności. Teza ta jest znakomicie przeprowadzona i dowiedziona na podstawie psychologii.

Oto, w skrócie, cały system ks. Jakubisiaka. Trudno o system logiczniejszy, a zarazem jakby ponadludzki, ponadświatowy, jakby posiadający aspekt wieczności, bardziej katolicki. Dopiero w tym systemie człowiek znajduje dla siebie godną miarę. Dopiero tutaj przyznano mu wielkość, godność i znaczenie, godność żywego i wolnego podobieństwa i obrazu Boga. Sam Bóg też jego wolności nie zabiera, przeciwnie: szanuje ją, dostarcza jej swej skutecznej pomocy do czynów, nawet przeciw Niemu wymierzonych. Jest to system na prawdę katolicki, jakby wprost z ducha Kościoła utworzony. Bo Kościół uczy nas o roli i znaczeniu jednostki w ten sposób: Chrystus umarł nie za ludzkość, ale za wszystkich ludzi, za każdego człowieka z osobna; dla jednostki zbłąkanej gotów jest opuścić zbiorowość do chwili aż ją znajdzie; w Eucharystii zaś łączy się z każdym człowiekiem poszczególnie i pragnie, żąda takiego właśnie osobistego stosunku. System ks. Jakubisiaka jest pierwszą, który ze ściągłości filozoficzną i logiczną dowodzi tych praw i wartości jednostki. Naprawdę możemy być dumni, powinniśmy się cieszyć, że to Polak, polski kapłan jest twórcą tego systemu filozoficznego — szczególnie wobec tak nikłego dotąd ilościowo i jakościowo udziału Polaków w myśli świata.

Artykuł niniejszy mógł tylko ogólnie, powierzchownie i pobieżnie streścić tę filozofię. Zadanie jego jest czysto informacyjne; chodzi tu o zachęte do poznania się z tą filozofią u jej źródeł. Jest to wprawdzie lektura trudna, bo są tutaj same nowe rzeczy, które trzeba dopiero uczyć się rozumieć. Ta właśnie nowość sprawia, że czyta się ks. Jakubisiaka z taką pasją. Spotykamy u niego ten sam co u Chestertona maksymalizm umysłu i woli, te samą świeżość spojrzenia, tę samą odwagę, wojowniczą brawurę, która z każdym walczą, nikomu żadnego fałszu nie puści na sucho, te same wreszcie poglądy — tylko że u ks. Jakubisiaka w formie arcyściślejszych wywodów logicznych, u Chestertona zaś w sensacyjnej nieledwie formie literackiej. Ks. Jakubisiak wojuje ze wszystkimi dawnymi (nawet z Dionizym Areopagita, Augustynem, Tomaszem itd.) i teraźniejszymi filozofami, z każdym się w całości nie godzi, może jeszcze najwięcej z Leibnizem, który swoją koncepcją po raz pierwszy podkreślił w filozofii znaczenie jednostki.

Trzeba te myśli poznać, przyswoić ją sobie i z nią razem iść na monistów i ewolucjonistów-panteistów z całą pewnością zwycięstwa. Trzeba też — trochę uznania dla twórcy tego systemu. Gdyby to był endozwój, już był sławny na całym świecie. Francuzi nagradzają ks. Jakubisiaka, szanując, zapraszają do Sorbony na wykłady. Polacy go nie znają, a ci, co o nim słyszeli, często niesmacznie, niepowważają atakują jego twórczość. Uznanie, o ile jest zasłużone, jest kwestią zwykłej sprawiedliwości. Uznanie — to klimat, atmosfera, potrzebna dla twórczości, jak ciepło dla wzrostu rośliny. Twórca bez uznania musi więcej wytężyć siłę na walkę ze zniechęceniem i samotnością, niż na pożyteczną pracę. Myśleć, że należy pokonać nasze leniwość i brak poważnej chwili, gdy trzeba, żeby każdy katolik stał się jak ów chestertonowski poliant-filozof i krytyk artystyczny z *Człowiekiem który był Czarlikiem*.

ZYGMUNT JAKUBIŚ

¹ Główny zarzut Duns Scota można w ten sposób streścić: skoro istnieje czas absolutny, to wszystko dzieje się w nim absolutnie. A więc przyszedł nie istnieje absolutnie. A co nie istnieje, tego poznać nie można tylko dlatego, że nie istnieje. Wszczędzia Panu Bogu nie pomoże w tym wypadku, bo trudno, żeby jakkolwiek komu mogła poznać to, czego nie ma. To absurd.

Pogląd zaś ks. Jakubisiaka, oparty na twierdzeniu, że czas nie istnieje, a więc przyszedł jest teraźniejszością dla Istoty Doskonałej, u której uwaga i poznanie działają naraz, — ten pogląd nie podlega zgola temu zarzutowi.

WOJCIECH NATANSON

TEATR I KRYTYKA

Dobrze się stało, że tak poważny znawca zagadnień teatralnych, jak Wiktor Brumer, omawiając niedawno w *Pionie* (Nr 46/215) książkę Knudsen, poruszył równocześnie — w sposób zasadniczy — zagadnienie krytyki teatralnej u nas. W tej sprawie istnieje odwieczny trójkął nieporozumienie. Czego innego domaga się od krytyki publiczności, o czym innym myślą aktorzy, wreszcie sam krytyk — jako pisarz — musi się kierować własnym celem. Aktorzy zarzucają naszej krytyce teatralnej, że jest za mało „teatralna”, a zbyt „literacka”. By temu zaradzić, chcieliby wysłać recenzentów do szkoły aktorskiej, nauczycieli ich aktorskiego, reżyserkiego i dekoratorskiego rzemiosła; wymagają też od nich obecności na próbach. Brumer i omawiany przez niego autor niemiecki zdają się podzielać ten pogląd.

Pomiędzy w tej chwili zagadnienie, czy owe plany są wykonalne. Przypuścimy także, że techniki aktorskiej i reżyserkiej można się naprawdę nauczyć w szkole. Przyjmijmy, że krytyk zgłębił wszystkie tajemnice rzemiosła aktorskiego i reżyserkiego, że umie recytować, charakteryzować się, ma „postawiony” głos, itp. Czy to wystarczy? A nawet — czy to jest niezbędne? Zadaniem krytyki nie jest przecież ocena techniki teatralnej, ale opis sprawionego przez przedstawienie wrażenia. A to nie są wcale sprawy identyczne; czasem są one wręcz sprzeczne. Wypisaliśmy uchyłali się zawsze na próbach od oceny technicznej strony gry; a mało kto w Polsce tak jak on rozumiał i odczuwał teatr. Jeden z najświetniejszych francuskich krytyków, de Fiers, spróbował zagrać w jednej ze swych sztuk; okazał się tak oplakany aktorem, że sam sobie odebrał rolę. Nie znalazł się na „technice” ani Sarcey, ani Lemaitre, ani Rudolf Starzewski, ani Kisielewski. Czy przekreśliło to ich rolę jako krytyków? Gdyby krytycy mieli oceniać przedstawienie z punktu widzenia technicznego, rola ich stałaby się właściwie dość mizerna. Byłoby rzeczą śmieszna oceniać „technicznie” Osterwę, Jareca czy Schillera. Krytyk patrzy na przedstawienie oczyma widza, nie zaś aktora. Nie obchodzi go pytanie: „jak to jest zrobione”, ale: „jaki jest wynik pracy teatralnej?” czyli: „jakie to na mnie wywiera wrażenie”. Coż powiedzieliśmy o krytyku literackim, który, zamiast oceniać wartość artystyczną wiersza, mówiłby o technice pisania? Coż powiedzieliśmy o krytyku plastycznym, który by się zajmował opisem pracowni malarzkiej, a nie obrazem? Albo czy krytyk muzyczny ma się zajmować klasyfikacją tych mozołnych ćwiczeń technicznych, jakie musi odbywać pianista przed koncertem, śpiewak przed występem?

Trudno mi więc uwierzyć, aby można było wykształcić dobrych krytyków u jakiegokolwiek uczelni. Pojawiają się u nas ostatnio pomysły tak dziwaczne, jak np. p. Grabowskiej, która zaproponowała mi mniej ni więcej tylko... przeszkolenie autorów dramatycznych. Walery, rozpoczynając niedawno w Collège de France wykłady poetyki, stwierdził, że nikogo nie można nauczyć pisania dobrych wierszy; tak samo nie można nauczyć pisania dobrych krytyk. Tych rzeczy można się tylko nauczyć samemu.

A dalej; mimo wszelkich teorii, które głoszą, że teatr jest sztuką samodzielną i nie powinien być umiowany ze stanowiska literackiego — trudno zaprzeczyć, że tylko ten teatr posiada głębszą rację bytu, którego repertuar jest wartościowy literacko. Zapewne myślił się Goethe, gdy mówił że świat jest pretekstem do poezji dramatycznej. Ale teatr jest nim na pewno. Zwłaszcza dziś — w epoce kina, teatr nieliteracki stracił właściwie już nawet nie idealowe, ale wprost materialne racje istnienia. Literacki punkt widzenia na więc podsta- wowe znaczenie nawet dla samej oceny gry aktorskiej. By ocenić czyją grę, np. w roli Hamleta, muszę sobie przede wszystkim stworzyć literacką koncepcję tej roli, a także przemysłowy pogląd na dramata i autora. Dla krytyka literackiego najważniejszą więc rzeczą jest kultura literacka; a obok niej także ogólna kultura humanistyczna, zwłaszcza historyczna, socjologiczna i filozoficzna.

Teatr jest przecież jedną z nielicznych dziś „ark przymierza” obecnego pokolenia z przeszłością. Jego zadaniem jest m. in. przypominać styl danego życia. Krytyk teatralny musi więc być po trosze historykiem. Sądzę również, że krytyk winien dobrze opanować jakąś gałąź ścisłego myślenia, przejść przez twardą szkołę logiczną, np. przyrodniczą, lekarską czy prawniczą. Da mu to ostrość patrzenia i zdolność odseparowania się od frazeologii, która w tej dziedzinie stanowi (nie tylko u nas) niebezpieczeństwo groźne.

A teraz jeszcze jedna strona omawianego zagadnienia. Brumer podnosi w swym artykule, że zarówno u nas jak i w Niemczech redakcje pism codziennych niechętnie i rzadko angażują na recenzentów wychowanków seminariów teatroligijnych. Jeśli w dwóch krajach żyjących w warunkach zupełnie różnych można zaobserwować zjawisko podobne — musi w tym tkwić jakaś głębsza, bardziej zasadnicza przyczyna. Myślę, że odgadnąć ją łatwo. Redaktorzy pism są mimowolnym czy świadomym echem swych czytelników; domagają się od recenzentów tego, czego pragnie publiczność. A publiczność chce dwóch rzeczy naraz: 1) by felieton recenzenta stanowił miłą i pouczającą lekturę, 2) by z niego można było wysnuć wniosek praktyczny: iść czy nie iść na przedstawienie. Rzecz oczywista, że rozważania teatroligijne czy „techniczne” nie są możliwe do pogodzenia z tym programem.

Trudno z nim także pogodzić ideał, który powinien sobie stworzyć sam krytyk. Jeśli chce spełnić pewną rolę kulturalną i walczyć o pewien typ teatru — nie może być miły publiczności. Nie może nasłuchiwać szmeru premierowych okłasków i wróżyć z nich, jak starożytni kapłani z jelił hydylcych, o szansach powodzenia sztuki. Niejednokrotnie musi się narazić na konflikt z publicznością; musi się też narazić czasem na gniew ludzi teatru. Jest człowiekiem omylnym, może wydawać sądy błędne. To nie jest zbrodnia. Ale nie może być bezbarwny, układowy, kompromisowy. Musi „czegoś” chcieć — „czegoś” w sensie artystycznym. Musi walczyć.

WOJCIECH NATANSON

KONRAD WINKLER

RUSZCZYC

Pisać o artyście tego typu co Ruszczyk jest rzeczą niezmiernie trudną. Ważyć jego sztukę wagą i powaga jego niewątpliwych i daleko sięgających zasług — rzeczą trudną i niebezpieczną zarazem. Nie wiadomo bowiem, jak się do tego zadania ustosunkować, w jaki sposób zbliżyć się do dzieła artysty, który większą część swej życiowej energii i kapitału twórczego złożył ofiarnie na ołtarzu dobra ogólnego i wielkich ideałów społeczności. Wszystko to piszącego niezmiernie zobowiązuje. A jednak musimy to sobie powiedzieć bez ogródek, że Ruszczyk, cały pochłonięty sprawami publicznymi, nie poświęcający się wyłącznie malarstwu — nie mógł, rzecz jasna, jako artysta rozwinąć się należycie i osiągnąć w swej sztuce owej doskonałej pełni, która bywa jedynym i ostatecznym celem rozumnie obranej drogi.

W czasach niewoli przez takich jak Ruszczyk tytanów walki o istnienie, o jedność i chwałę rodzimej kultury, przemawiał po prostu instynkt samozachowawczy narodu. Byli oni nadzieją i otuchą tych ponurych dni. Dzisiaj natomiast patrzmy na to nieco inaczej. Dzisiaj artysta wyrzekający się swej sztuki na rzecz zbiorowości wydaje się nam postacią niemal tragiczną. Bo nie chodzi tu nawet o czas bezpowrotnie dla sztuki stracony — ale o przepady na zawsze ładunek energii duchowej i intelektualnej, zużyty w ustawicznym zmaganiu się z perypetiami artystycznie niewyrobionego środowiska w bezpośrednim trybie życia codziennego.

W sferze walki o kulturę plastyczną zakres prac przedsięwziętych przez Ruszczyka był zaiste olbrzymi. W roku 1906 organizuje Ruszczyk Warszawską Szkołę Sztuk Pięknych, następnie w Wilnie przeprowadza prace konserwatorskie celem zabezpieczenia architektonicznych zabytków swego ulubionego miasta, stwarza ze znanym fotografem-artystą Janem Bulhakiem archiwum fotograficzne przy zarządzie miejskim, porządkuje i zabezpiecza zbiory Twa Przyjaciół Nauk, — po wojnie zaś organizuje Wydział Sztuki w U. S. B., gdzie przyjmuje godność profesora i dziekana. Równomocnie inscenizuje w Teatrze Wileńskim szereg sztuk z wielkiego repertuaru, jak *Lille Wenede*, *Księcia Niezłomnego*, *Warszawiankę* i t. p. oraz *Balladę* w Teatrze Polskim w Warszawie, — wydaje *Zórawie* i *Tygodnik Wileński* i oddabia te pisma swymi rysunkami, wygłasza liczne odczyty, urządza wystawy „Sztuki”, projektuje okładki czasopism i książek i t. p.

W tych warunkach praca nad swym rozwojem indywidualnym przechodziła miarę; nawet tak nieprzeciętny jak Ruszczyk człowiek. W początkach swej artystycznej kariery artysta odnosi poważne sukcesy. Wystawia z Tow. art. „Sztuka” w kraju i za granicą. Rząd francuski nabywa jeden z jego obrazów do Muzeum Luksemburskiego. Otacza go uznanie i sława, jako znakomitego mistrza pejzażu — ale w połowie jego dni, wśród lata jego życia, ciągłość jego artystycznej pracy nie da się już uchwycić. Ruszczyk rozmienna na drobne swój nieprzeciętny talent, maluje dorywczo i przynosi w wolnych chwilach od zajęć publicznych, a tracąc coraz bardziej swą linię rozwojową, schodzi ostatecznie z pola czysto malarzskich zainteresowań.

Wśród artystów utarło się mniemanie, że dla ludzi rozmiłowanych w sztuce wszystko, co nie ma związku z ich pracą, nie przedstawia znaczenia. Nie brak co prawda wyjątków z tej reguły. W zasadzie jednak skupienie się w wizji i intensywność celu — rzeczy charakterystyczne wrażliwości artystycznej — pociągają za sobą pewną ekskluzywność w stosunku do stylu życiowego i osobistych zainteresowań człowieka. Cézanne prowa-

dził podwójne życie: życie prowincjonalnego rentiera, życie konwencjonalne na zewnątrz, i życie wewnętrzne artysty, który pod pozorem konserwatyzmu i drobniomieszczańskiego *sa-voir-vivre'u* chował duszę pełną entuzjazmu i wrażliwości na piękno. Kiedy go raz zapytano, co robił w czasie wojny francusko-pruskiej w 1870 r., odpowiedział: „W tym czasie dużo pracowałem nad motywem w *Estaque*... Geniusze bywają częstokroć nieczuli na wszystko, co



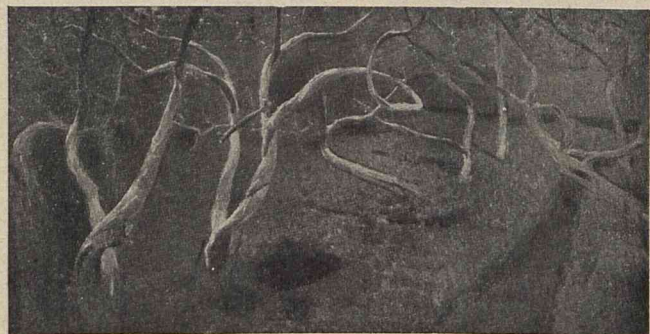
F. RUSZCZYC

KAROLNIKI

się dokoła nich dzieje, ulegając jedynie przemożnej sugestii swej twórczej manii. Ten mus tworzenia, który daje im najwyższe zadowolenie i radość życia — czyni ich tak ekskluzywnymi. W tym właśnie przeważa się ich siła i sens istnienia.

W roku 1897 kończy Ruszczyk Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu pod kierunkiem słynnego wówczas pejzażysty, Kuindzięgo. Podróżuje następnie po Krymie i krajach bałtyckich, zwiedza Europę zachodnią i środkową, skąd powraca do swego rodzinnego gniazda, Bohdanowa, w Ziemi Wileńskiej. Największe nasilenie w pracy malarzkiej Ruszczyka przypada na lata 1898 — 1908. W tym czasie tworzy i wystawia swoje najlepsze płótna, jak *Ziemia, Młyn, Stare jabłonie, Krewo, Wieczór wiosenny* i t. p. Jako wychowanek petersburskiej Akademii, biorący żywy udział w doznaniach artystycznych rosyjskich środowiska, znajduje w polskim krajoznacze niejako uzasadnienie swego stanowiska wobec przyrody, której elementy stają się dla niego materiałem do stworzenia obrazu. W pracach tych nastrojowy sentymentalizm literackiego pokroju, jaki cechował Stanisławskiego i rosyjskich „Pieriedwiżników”, nie pozostał bez wpływu na młodego malarza. Później, w okresie pracy organizacyjnej i publicystycznej, wpływ ten znacznie osłabł, a na ich miejsce zjawiają się w mniejszych płótnach i szkicach założenia świetlane i kolorystyczne, pojęte jednak w sposób dość powierzchowny i konwencjonalny. Ciemna paleta Ruszczyka rozjaśnia się wprawdzie, płótna zyskują na logice budowy i zawartości kompozycyjnej — ale brak skoncentrowanej spójności wizji malarzkiej i zdyscyplinowania pracy daje wyniki dość połowiczne. Dopiero przy końcu swych dni usiłuje zmóżyć niemocą artysta pochwyć nadaremnie dawno zerwany wątek swej malarzkiej pracy...

KONRAD WINKLER



F. RUSZCZYC

STARE JABŁONIE

MARIA MORSTIN-GÓRSKA

TWÓRCZOŚĆ

Na duszy mojej szczyt,
co w Twoje Oblicze spociera
ofiarny układam stos —
i długo, pracowicie
rozglądam się, szukam, zbieram,
ułożę za sobą i znoszę
jakoby kłose drzewa:
cierpienia me i rozkosze,
myśli, które myśleniem ploszę,
słowa, którymi jeszcze nie śpiewam,
mleczących godzin glos...
Potem patrzę w daleką lunę...
Oto stos — dzieło człowieka —
czeka
a teraz — Ty, Gromowładny — zapal go Twoim piorunem!

ADOLF RUDNICKI

G H E T T O

(FRAGMENT POWIEŚCI „LATO”)

Podróż w głąb czasu, podróż w głąb roku w miasteczku letnim da się porównać do drogi, która nie do ogarnięcia szeroka na początku, pod koniec zwęża się, zwęża coraz bardziej — czego poczyna ubywać, przywykłych do dotychczasowej i żywiołowej bujności uderzać poczyna pustka łąk, wozów i dróg, rzeczy same, jakiś plotek niepozorny, domek jakiś, uliczka czy dróżka zwracają naszą uwagę, czego dotąd nie było, a jeśli było, to w minimalnym stopniu, gdyż ludzie kradli grosz tej uwagi dla siebie, w kotłowniku nie starcza wręcz czasu na przyrodę. Teraz poczynało być inaczej, — przyroda oczyszczona od ludzi sprzyjała zarazem i wewnętrznemu oczyszczeniu, przy czym charakteru nierzeczywistego nabierały wszelkie doznania niedawne, traciły swą materialność, stawały się podobne do snu. Zbyt szybko przeminiły! Ten stan rzeczy oznaczał początek jesieni, kiedy przypadała wielkie święta jesiennie Żydów — zenit ghetta.

Te dni są jego najwyższym osiągnięciem, te dni uwidniającego jego ciągłą aktualność, te dni nieprzerwanego prawowania się o życie, o los, o dołę, walki ze śmiercią i wszelką fatalnością. Całe tuje miasteczkożkowe życie żydowskie w swym głównym sensie nastawione jest na to, aby do obrze umrzeć, ku temu zmierzają nakazy i zakazy dnia powszedniego. Lecz w dniach święta śmiertelna pieśń zostaje wysubtelniona, wyścieniona, wydoskonalona; modlitwy przechodzą przez znakomicie wyliczone gradacje, biegną ze świętą konsekwencją, zabierając coraz więcej i więcej czasu napierw z dnia, a potem z nocy. Napierw trzeba wstawać a śniadanie, kiedy gwiazdy niby srebrne gwóźdźce tkwią w nieznanym niebie, potem zaś i o mrocznej północy — noc zostaje zamknięta dla spraw duszy, noc przemienia się w modlitwę, trwającą tygodnie całe przez święto Nowego Roku, przez Dziesięć Dni Pokutnych do święta Dnia Sądu, z którego wszystko co ciałem, co materialnością przegnane zostało na pełną dołę postu, zażalenie, błagań i modłów o siebie, o los własny przeciw wszystkiemu co nieznanne, wiadome, niespodziewane a straszne. Ciarki przechodzą podczas słuchania przepowiedni, która w bezlitosnym wyroku wytycza los, miążżąc rozum, unicestwiająca wysiłki indywidualne. Zaś Dnia Sądu Żydy, postawieni oko w oko z tajemnicą, wierzą ponadto, że mogą mieć wpływ na jej ciemną moc. I geniusz, cały swój geniusz tulący wkładają w modlitwę. Siły niezorganizowane, nie dające się zorganizować, mroczne, niszące, a przede wszystkim nieznanne wywołują na ten dzień.

W tym okresie w miasteczku siedział już niewiele Żydów, ale ci, którzy byli dalecy na ogół od wszelkiej religijności, raczej obojętni a nawet wrocy, zostali całkowicie zafascynowani, wracali, żydzyli w naczynny sposób. Nie świętując świętowali, nie zachwycając się trwali w ciągłym zachwycie. Nie wierząc podlegali tym samym fluktom uczuciowym, byli tak samo poruszeni, przejęci, ulegli, jak ci co wierzyli. Nie przynależą do tego, ale tak było, od uczuć się nie ucieknie. Wszystko, co w sferze uczuć mogli przeciwstawić tym oto wspaniałym rozbudowanym wiekową tradycją formom, było nikłe, nieznaczące, żadne. Więc ulegali i jakkolwiek znali inne i jakkolwiek przez lata śpiewali inne, w te dni ponad wszystko przekładali pieśni żydowskie i to przynosiło wiele prostego szczęścia. W takt znanych melodii wiadomy stał się świat, bliszy ludzie, w organiczny jakiś sposób rzeczywistość otrzymała rozwiązanie, nie trzeba było szukać uzupełnień, w tych piosenkach los

zdawał się być czymś łatwym zrozumiałym, śmierć łatwa do przekroczenia, opadały ciężary. Ghetto, — gdy miasto okres żywiowości, gdy okres zainteresowań żywiołowych słabnie, gdy coraz mniej mocy na przyjęcie tego, co się wokół dzieje, zaczyna fermentować w nas to, co z nas samych, z rodziców, budzą się, odżywają jakieś zamierzości, istnienia minione, których jesteśmy wyrazem i ogniwem. Gdy nasza egzystencja poczyna przysiągać, wypływają z siłą egzystencje obecne, pod jesień wszyscy przekraczają krag ghetto, pod jesień życia. Im naród starszy, tym mniej w nim sił na sprośnienie życia zewnętrznemu, tym mocniejsze, tym bogatsze w nim ghetto, taki naród żyje właściwie ciągle na pograniczu ghetto. Im naród starszy, tym człowiek rodzi się jakby starszy, ze znacznymi zadatkami na ghetto. Pod takim nie należy zbyt kopać, nie trzeba tego ghetto mu przybliżyć, modłów i śpiewów nie należy wywlekać, bo od razu się zapadnie, p o w r ó c i, a ponieważ w okresie wielkich świat działa się to wszystko, nie więc dziwne że żydzieli, w jawny i uragijny wrzost sposób żydzieli. Poza tym działa się to przede wszystkim na jesieni, gdy wszyscy są nieco starsi niż w rzeczywistości — to całkiem specyficzna właściwość jesieni, jesień to właśnie czas ghetto, smutny czas rozejmu z żywym życiem, późną jesienią czas robi się jakby siwy, a tak, siwieje czas!

Odjęcie tych, o których mowa, nigdy nie było zupełne. W rynku znajdowała się cukierkarnia, raczej nieprzyjemna, gdzie długi Żyd o udrejonę twarzy, wspomniany już raz pan Salo, obsługiwał gościom, starając się o styl, który — mówię językiem zbieracza J. — stanowił epigonizm wszystkich epigonów malomiastekowych, podrabiających bohómski. W pewnych godzinach sezonu nie było tutaj ani jednego wolnego miejsca. Kilkadziesiąt osób namietnie gestykulując, kreując siebie na wzory mile sercu, czyniło wrzask, od którego w lokalu stawało się lekko, oczywiście nie od samego tylko wrzasku. Kto zna żydowskie życie, temu nieodparcie jedno porównanie się nasuwało: biesmedresz. Biesmedresz czyli dom modlitwy, bóżnica, — kwintesencja ghetto.

Element, który uczynił miasteczko swoim miejscem wypożyczkowym, gardził oczywiście biesmedreszami, jak w ogóle wszystkim, co nieuchwytnie w dziedzinie materii. A jednak wszędzie tam, gdzie się ci ludzie schodzili, ci materialisi, — zajęcie porządku przedobiednia do którejkolwiek cukierkarni, schycający się przeważa klienteli żydowskiej, nie wyłączając nawet lokali najmniejszych, obojętne czy gościmi tych lokali będą Żydy-kupcy, czy Żydy-advokaci, Żydy-aktorzy, czy Żydy-maklerzy, uderzy zawsze ten sam obraz, ten sam styl, biesmedreszowość tych bogoburców i zwolenników materializmu. Jest coś zastanawiającego w podobieństwie form, w tan od nich zależności, coś niepokojącego w trwałości nawyków ludzkich, które przez długie pokolenia nie wygasły. O Nalewkach nie wyłącznie one rowy piszą, że są skomunizowane, takie jest przekonanie najszerzej opinii, nawet tej nieuprzedzonej, chociaż mówią prawdę nie ma takiej. Ubiegłej zimy aktorzy żydowskiej z Ameryki pokazywali Warszawie sztukę *Jose Kalb* opartą na motywach chasydzkich. Otóż te sztuki najgorzej oklaskiwali — nikt inny, tylko mieszkańcy dzielnicy północnych i to w miejscach, które przedstawiają obrzędy i śpiewy religijne. Czy dlatego że jest w nich moment satyry? Bynajmniej. Dlatego, że reminiscencje są zniewalające, wzruszające i ciągle trwałe. I trwać one będą dopóty, dopóki trwa antysemityzm, dopóki istnieje Żyd i żydowszczyzna, dopóki świat potrzebuje, takiej formy reakcji należy się spodziewać, tej formy bycia ludzi, którzy słabli w samotności — w masie szukają odprężenia, samoutwierdzenia, masę się bronią przed wszelkimi atakami, masę na nie odpowiadają, zawsze tą samą i tak samo reagując, gdyż ciągle i bez przerwy gnębą ją te same utrapienia, te same dolegliwości i te same kompleksy. Tego lata antysemityzm rozszalał się na dobre. W miasteczku letnim dawał się o wiele mniej we znaki, niż gdzie indziej, ale i tutaj się go odczuwało.

Znałem w miasteczku chłopca — Sztajerkę. Ponieważ Sztajerkę było kilku, więc należało nadmienić: maly, maly Sztajerek — co zresztą przytaczam dla starszych roczników, które znają go jeszcze, jako pedraka, pędzącego za gośćmi i kawalami wydłużającego od nich grosz. Sztajerk liczył — dzisiaj — nie więcej, niż osiemdziesiąt lat. Od siódmego roku życia sprządał gazety i nie zmienił się zgola, jego wiadomości o

świecie musiały się oczywiście wzbogacić o uczucia, lecz nie o znajomości rzeczy, rzeczywistości Sztajerka pozostała bez zmian, zupełnie bez zmian. Ongi był pupilem publiczności, obrotni dziennikarze piswali o nim, fotografowali go, na swój sposób był cudownym dzieckiem. Kolegował z bogatymi rówieśnikami, których czas oraz pieniądze rodziców uczynili „ludźmi”, którym stosunki rodziców daly że świata wszystko to, co świat ma do dania. Dział pomiędzy Sztajerką a ex-kolegami tkwiła przepaść, a chłopiec znajdował się w tym wieku, kiedy sobie i tego można zdać sprawę. I nie wygwizdywał już skocznych melodii, jak lat ubiegłych, kiedy w ten sposób sygnalizował swoje istnienie, swój równy ptakom żywot bez troski, nie zorientowany w straszliwość uzrządzeń ludzkich. Nie był już skory do wyznań o oficerach, którzy wraz z napiwkami pozostawiali mu żony do pilnowania, zakochane w swym aniele stróżu. Nie mówił o pewnych znanych na tujejszym gruncie damach, że zwabiali go do wozów i tam, ech, co tam. Ani nie gwizdał, ani nie opowiadał o sobie maly Sztajerek. Posmutniał tak, że przerażała mnie jego twarz, ciężka, obojętna, nieczym nie zainteresowana, jakoś za bardzo dojrzała, a przecie nie życia nie zasnął. To się widziało: nie był już ciekawy życia. Już go opętała jakaś fantazja, wszyscy Żydy muszą mieć jakaś swoją fantazję. Jego ojciec wierzył w Jeruzolimę i oczekiwał nadejścia Mesjasza, a syn niedaleko odszedł od ojca, syn pozostał wierny i ojcu i narodowi. W Madryt uwierzył, w Chiny uwierzył, tylko nie w rzeczywistość, maly syn starego głupiego narodu, który od dawna zasłużył sobie na laskawy chleb ludzkości.

Madryt to nadmiar fantazji, wynik gnuśnego życia. Patrząc na Sztajerkę, widziałem, jak potoczy się jego życie, jak stanie się czynny, tak czynny, że niczym mu zaimponować nie będzie można. Skazane mu na bierność przypatrywanie się wszystkiemu co piękne z daleka od źródła żywego życia, — nie nie będzie godne. Nablił sobie głowę tą nową Jeruzolimą i przez człe życie będzie jej wyzekiwał, a wszystko dlatego, że w rzeczywistości, w której żył, nikt o nim nie pomyślał. Nie — pomyślano przecie o nim. Właśnie tego lata burmistrz pomyślał i wsadził go na tydzień czasu do kozy. Po wyjściu pytałem chłopca o przyzwyd. „W tych czasach pyta pan, dlaczego Żyd idzie do paki” — odparł, błysnawszy oczami, po czym szybko zostawił mnie na środku rynku.

Widywałem te Żydówkę co dzień, maszerującą do wioski o kilka kilometrów od miasteczka położonej i wracającą pod wieczór. Nosila chleb, który dawała chłopcom na kredyt. Była zupełnie stara, schowana w lachach bez względu na skwar i porę dnia. Przyjęła się jej od tyłu, — co uderzało, to noga zółta i krucha jak wyschnięta, zleżała kość; na te nogę, wystającą spod spódnicy niby świadectwo spustoszenia i nędzy, nie można było patrzeć obojętnie, człowiek doznawał owego poruszenia, w którym litość graniczy ze wstrętem, trwoga z rozpaczą, chęć ucieczki z przeświadczeniem, że nie ma po temu prawa. To był widok bolesny. Gospodarz, u którego mieszkałem, poinformował mnie, że wdórkowi starszki trwają nie przzerwaniem przez rok cały, latem i zimą, jesinią i wiosną, gdy droga jest jednym bajorem. Chłopcom nęda nie zawsze pozwalała być uczciwymi. „Rajzla, jak będziesz wyjeżdżał do Palestyny, zwróć ci te pięć, że dwaście złotych” — mawiano na wsi. Nad psem ludzie dawno już by się ulitowali, ale stara kobieta świat traktuje paraliwymi. Pewnego wieczoru zauważyłem ją, jak zwykle wracającą ze wsi, czapiącą ociężałyimi nogami w męskich butach. Kroczył za nią młody człowiek lat mniej więcej trzydziestu. Młody człowiek, który nie był Żydem, patrzył na starszkę uważnie i przez dłuższą chwilę, wreszcie podszedł z jalmużną. Nieprzewidyka do litości ludzkiej starszka nie zorientowała się, czego od niej chcą, tak że moneta — nim wpadła w przeznaczone ręce, potoczyła się na bruk i ofiarodawca musiał się schylić, aby ją wręczyć powtórnie. Ludzie, jeśli im czynić dobrze, zwykle doznają wzruszenia, to rzecz wiadoma, o tym nie warto wspominać. Ale świadkiem prostego ludzkiego uczynku był chłopiec żydowski, lat szesnastu, który szedł z matka. Trzeba było widzieć, jakimi oczami spojrzal na dobroczyńcę! Te oczy wyrażały, że młody człowiek nie wyobrażał sobie, aby dobroć mogła łamać granice wyznaczone przez nięność.

Do miasteczka przyjeżdżali różni Żydy, zasymilowani i nie zasymilowani, przyje-

dżali i chrzczeni, gdy wokół szalało piekło antysemityczne. Tego lata ci ostatni robili wrażenie jakby zażenowanych, jakby zawstydzonych, już nie stonili od współbraci, którzy — jakkolwiek znacznie mniej uplasowani społecznie, o wiele mniej edukowani w kulturze, nie zrobili przecie tego głupstwa i pozostali wierni. Advokaci i przemysłowcy, lekarze i handlowcy, którzy zaryzykowały się z chrześcijańkami prowadzili w siebie chrześcijańskie domy, teraz nieczekali z nich nie znajdując spokoju, nie dowierzając swym chrześcijańskim towarzyszkom, swym na pół chrześcijańskim dziećmi, wracali do ghetto i w starych towarzyszki szukałi usprawiedliwienia, pocieszenia po burzach, które się kryły w milczącej atmosferze ich domów. Nie znajdując aprobaty w części społeczności, do której doszły, wracali marnotrawni synowie prosząc milczenie, które trawilo ich dusze, o wyrozumiałość. Wracali do swego losu, a ich myśli, ostre i trzeźwe dotąd, racjonalistyczne i materialistyczne, doznawały z pewnością owego przemienienia, owego zmiechcenia, w którym ginie wiara w ład stosunków ludzkich. Sam fakt powrotu krył w sobie pokorę, a pokora oznacza wiarę we wszystko, tylko nie w rzeczywistość.

Tę pokorę czuło się i w doktorze Z., który tylko od czasu do czasu przyjeżdżał do miasteczka, do bawiącej tutaj małżonki. Był to drobny człowieczek, żywy jak srebro, retygujący w oryginalne potów rosyjskich, rozmiłowany w poezji, co mu nie przeszkadzało być znakomitym lekarzem. Lubił ludzi, którzy trzymają rękę na pulsie życia. Wywierają wrażenie mocnych, choćby nimi nie byli, zachwycają w jakiś całkiem swoisty sposób, — dorozkasz zachycwa na swój sposób, oficer na swój znowu, ksiądz, policjant, stróż nocny, fryzjer, stolarz, robotnik metalowy, uczeń, każdy z nich ma jakiegoś konika, inną znajomość rzeczywistości, milion ludzi — milion rzeczywistości. (Každy poza tym ma swego upiora.) Bardzo to przyjemna rzecz dobić się do oboych rzeczywistości poprzez śmieśność i nieoponowanie form nam znanych a im nieznanym, im znanych a nam nieznanym. Ludzi przy stole powinno się dobierać nie wedle jednolitego klasa społecznego. Sejm zawiadzał się ciekawie pod tym względem, ale sejmów jest coraz mniej na świecie, to raz. Po wtóre w sejmach chłopci ucza się form towarzyskich. Ale taki już będzie los wszytskich sejmów po waze czasu.

Przez doktora Z. rzeczywistość lekarska płynęła szeroką, błyskotliwą strugą. Zawsze można się było od niego dowiedzieć czegoś ciekawego.

— Klienci moi — rzekł pewnego dnia w większym kole zebranych — składają się z Żydom i Polaków. Ich sposób reakcji jest niepodobny do siebie. Bez względu na stopień wykształcenia i bez względu na środowisko, Polak, gdy usłyszy że choroba ma się ku końcowi, odpowiada niezmiennie:

— Dzięki pomocy Pana Boga i pana doktora.

Żyd natomiast:

— Gdyby pan doktor wiedział, jak ja żyję, jak uważam na siebie, jak ściśle przestrzegam zaleceń pana doktora.

Na to malarz A. oświadczył, że to sprawa krwi, tak jak sprawa krwi jest to, że nie lubi i nie może malować kościolów, choć w obiektywny sposób ocenia ich niewątpliwie piękno. Widzi je, może nawet czuje, gdyż piękno przelika niezależnie od wszystkiego, ale dać mu wyrazić nie potrafi. Zachęty jest uczuciem za mało ugruntowanym, zbyt mało wokolo niego przeżyć własnych, własnej historii w tym stopniu, w jakim historia ogolu staje się przeżyciem indywidualnym. Wszystko co A. wie, w jego twórczości jest odkrywcze, odkrył na Żydach, na żydostwie, nieżydów widzi z grubszą, nie stać go na wykrywanie finezji i subtelności, w jednym jak gdyby kolorze widzi nieżydów, grubo, schematycznie. Pewnego dnia uczynił to odkrycie ku własnemu przerażeniu: pomiędzy nim a światem nieżydowskim stoi mur, ściana nie do przebycia. Tyle wokolo mówiono o krwi i rasie, że i po tej stronie nie uwierzono.

Sklepikarze i tragarze, i rzemieślnicy tego lata doznali najgłębszego utwierdzenia swojej formy życia, ghetto doznało głębokiego usprawiedliwienia, już od dawna nie zasnął tak mocnego zjednoczenia, jak w ostatnich czasach. Tak samo, jak z drugiej strony namietnie notowane wszelkie pomniejszenia o żydostwo, tak z tej ludo dbali o swój żydowski honor, byli z niego dumni, — ghetto po raz nie wiedzieć który triumfowało.

ADOLF RUDNICKI



PLACI HONORARIA ZA ARTYKULY
WARUNKI WSPÓLPRACY PO NADESŁANIU ZNACZKA
25 GROSZY
CZASOPISMO „TEMPO” KATOWICE
Słowackiego 17

KAROL IRZYKOWSKI

HUMOR I METAFIZYKA W TEATRZE NARODOWYM

TEATR NARODOWY: *Człowiek który był Czwartkiem*, sztuka Cecylii Chesterton i Ralfa Neale według powieści G. K. Chestertona. Przekład Julii Ryłskiej. Reżyseria W. Radulskiego. Dekoracje A. Pronaszki. Muzyka R. Palestra.

rzecz tłumaczy. Niedziela jest Panem Bogiem, który siódmego dnia odpoczął, a oni — dniami tygodnia. Czastkami harmonii stworzonymi przez Boga, czastkami, które się wzajemnie nie rozumieją, lecz które rozumie On.

cenzeni uskarżają się, że przedstawienie było zanadto makabryczne, chcieliby więcej humoru, jako że Chesterton przeciw humorysta. Ależ zabawy przy stole biesiadnym anarchistów i w knajpach było dosyć, publiczność „wyszła na swoje koszty”. Już to Warszawa chciała się wciąż tylko hawic i recenzenci tego bardzo pilnują. Może należałoby było ten przerobiony już raz *Czwartek* oddać do ponownej przeróbki Tuwimowi lub Karpińskiemu? Nie rozumie się u nas, że humor nie polega tylko na rechotaniu. Humor ma różne kalibry, niekoniecznie musi być „lekki”, podskakujący, kabaretowy. Ba, moim zdaniem, właśnie humor kabaretowy, gdzie dowcip jedzie na dowcipie, to jest humor ciężki, objęzdowny, natrętny, niestrawny. A humor w małych dawkach, lekko rozpostarty nad całością, wywołujący nie śmiech lecz uśmiech, czyniący pogodę w duszy — to jest humor głęboki, chestertonowski.

Niebo — tak, niebo nie dopisało, niebo zwykle nie dopisuje. Boy porównywał słusznie ostatnie sceny *Czwartka* z trzecim aktem *Strasznych dzieci* Rostworowskiego. Byłem na *Strasznych dzieciach* — i tam mimo wysiłków Trzczyńskiego, majestat nieba nie objawił się odpowiednio. Powiedziałbym o tych sprawach tak: Odbywa się autorski, reżyserski i dekoratorski szturm do nieba. Nie chce się go przedstawiać bezpośrednio, bo przecież niebo to rzecz metafizyczna, wielka, więc próbuje się chwytów pośrednich (metafory). Przedstawiano niebo szkopowato, dziecinnie, niech wiedz ogląda je „przez pryzmat” swojej wiary dżdżejcej, którą w sobie na ten wypadek odnajdzie, niech będzie — naiwny. Ale zdołał mi się, że to naiwność stylizowana, chytra, i trochę — snobistyczna. Ja wolabym niebo Michała Anioła, choć wiem, że ono by się na scenie nie udało, bo nie udało się nawet w filmie (*Sad ostateczny*). Takie „prawdziwe” niebo, zrobione z prawdziwą wiarą i prawdziwym zapalem, — to by dopiero była rzetelna „naiwność”. Ale przyznać też muszę, że szkopowato, bożonarodzeniowa interpretacja nieba jest właśnie w gущe Chestertona. On najwięcej się wysiłł w kierunku tej pośredniości, aby niebo ściągnąć na ziemię, uczynić je łatwym i dobrodusznym. Ciałe życie nad tą swoją metaforą pracował. Niedziela na siebie samego uchałakteryzował: uczynił go grubym, jowialnym, ziemskim a przecież tajemniczym.

Tu muszę pomówić o kreacji Zelwerowicza w roli Niedzieli. Nie podobała mi się ona, choć — znowu to przyznam — była chestertonowska (jowialny grubas).

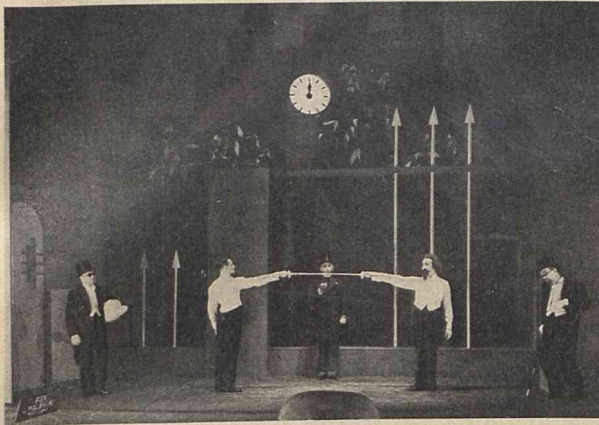
Ale przecież Chesterton sam swego *Czwartka* jako sztuki nie pisał i nie wiemy, jakby on się uporał z Bogiem, gdyby go chciał pokazać na scenie, — nie wiemy, czy by go tak zupełnie zczłowieczył. Zelwerowicz ma w dykcji coś miamlącego, żującego, drobiazgowego, co jest sprzeczne z wszelkim patosem. Zelwerowicz jako wielki aktor ma prawo do ról bohaterskich, ról z szerokim gestem, ale nie może się długo utrzymać w naprężonych pozejach. Jest w tekście tej roli miejsce, gdzie Niedziela mówi stylem już iście chrystusowym: „Zali byście mogli pić z czary, z której ja pijem?” (cytuje według przekładu Rzymowskiego). Zelwerowicz wypowiada te słowa z ogromną starannością, obywatelnym tonem, a jednak chybia wrażenia. Nie ma nic boskiego w tym człowieku (Niedzieli, nie Zelwerowiczu), jest to wciąż „starszy pan”. Ale za to dziwaczna i dziwna jego maska pozostaje w pamięci.

A czy w ogóle może się udać taka kreacja? Niedawno pokazano w Warszawie prywatnie słynny film amerykański *Zielone pastwiska* (zakazany w Polsce, zresztą niesłusznie). Przedstawia on historię biblijną w taki sposób, jak ją — niby to! — wyobraza sobie dziecko muzykujące. Muzykiem jest anioł, a Pan Bóg jest nie tylko muzykiem z rasy, lecz nawet nauczycielem wioskowym, czyli w ogóle „dobrym starszym panem”. Słoby obu półkul ziemskich zachwycały się tym Panem Bogiem, ja uważałem całą rzecz za chybotny eksperyment, za strywalizowanie Pisma Św. Nawet pomyśl sam nie jest nowy, bo np. Hauptmann w *Hansu* zrobił Chrystusem nauczyciela, co prawda jako postać senną, i nie odebrał jej atrybutów nadzielskich.

Wdzięczniejsze zadania mieli pp. Socha i Białoszczyński. Upór poety buntu a potem anioła buntu w meskiej, twardej dykcji p. Sochy, wywarły na mnie głębokie wrażenie. P. Białoszczyński, detektyw *Czwartek*, jest dla nas jeszcze tak nowy, że recenzentowi trudno rozróżnić jego właściwości indywidualne od roli. Bądź co bądź skupiał na sobie zainteresowanie w tej mierze, jaka się tej roli należała. P. Strachocki, detektyw imitujący paraliżika, robił go świetnie, ale niech by tą świetnością mniej czasu zajmował.

PS. Użyłem w powyższej recenzji słowa „naiwny” w tym znaczeniu, jakie mu nadała estetyka niemiecka, z F. Schillerem na czele. Wic „naiwny” znaczy nie: głupi, nieswiadomy, niedojrzały, lecz raczej: naturalny, otwarty.

KAROL IRZYKOWSKI



„CZŁOWIEK KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM” (dek. A. Pronaszki) Pp. Krzemieński, Białoszczyński, Kersen, L. Stępowski, Strachocki

Chestertonowska przypowieść sceniczna o *Czwartku* ożywiła nasz teatralny światek pogrążony po uszy w repertuarze „życiowym”. Nie udało się Calderon, ale udało się Chesterton. Górnolotnie rzekłbym: przez szparę przedostały się na scenę i powiały wiatry kosmiczne. Mniejsza o to, jak sobie widzą ostatecznie wytłumaczy znaczenie całości, lub może nie wytłumaczy sobie wcale. Nie o to chodzi. Chodzi o hylskawicę, o krótkie śpięcia, a te są. Rozmowa poety ładu z poetą buntu zaraz w pierwszym akcie, słuchana przez Rozamundę, na tle wież londyńskich — to rzecz wspaniała. Rozmowa długa, a jednak słuchacz wszystko rozumiał. Potem wielka scena w podziemiach: anarchiści, tajemniczość, mowy plemiennie lub chytre, jakieś głosowanie, wybory, intryga poety ładu przeciw poecie buntu, kłeska tego drugiego, — to coś jakby wyjętego z *Nieboskiej komedii*. Patos i skróty, oszczędność dramatyczna, żadnych wątków ubocznych, rzecz dąży od razu jak strzała do celu, ale myśli pozostawiono duży margines — to wszystko porywa. Coś ważnego tu się stanie. Tak chciał konstruować Zawięski w sztuce *Dyktator On*, ale zabrakło mu takiego głębokiego i pointowanego dialogu, i — przecież, przecież! — owej sztuki intrygowania, niespodziankowania, którą Anglię i Francuzi posiadają.

Potem rzecz staje się wybitnie komediowa, od chwili, kiedy członkowie tajnego Klubu Tygodnia, rzekomo anarchystyczny, jeden po drugim demaskują się jako detektywi wysłani do śledzenia anarchistów. Publiczność się śmieje i cieszy, bo jak każdy tłum sympatyczny z romantykami, więc tutaj — z anarchistami. A wśród tłumy — tego nie ma co ukrywać — przeważa jeszcze niechęć do policji, więc kompromitowanie się policjantów wywołuje aplauz. Ten i ów weszły po prostu stąpnę na policję, a może na rząd, a może na reżim! Tak jest już wychowana nasza publika. Wrażenie ze sztuki zważa się, ale za to jest zabawa. Autor w bardzo urozmaicony sposób demaskuje swoich detektywów — co to będzie, co to będzie? Gdy już jeden, drugi, trzeci i czwarty pokazał swoją kartę detektywną, widz zaczyna się niepokoić: a gdzie są u licha ci anarchiści? Czyżby wszyscy byli szpiegami? Nie, to niemożliwe. Wprawdzie żyliśmy w czasach konspiracyjnych, mieliśmy różnych Azewów, Zubatowych, ale tak źle nie jest, żeby wszyscy byli Azewami... Tak myśli polski widz, ale autor angielski omija kwestię prowokatorstwa i w ogóle nie lokalizuje swej akcji, — rzecz może się rozgrywać i w Anglii, i w Rosji, i we Francji, i na całym świecie.

Zabawa zmienia się w zadumę i nowy przypływu napięcia dramatycznego nastaje, gdy teraz z kolei detektywi są zaintrygowani: kto to ich tak urządził, gdzie jest i kim jest tajemniczy szef siódmki, niezbiedny Niedziela? Czy może i on także... nie, to by było trywialne. I szukają go po całym Londynie, poprzez jakiś tłum zwrolucjonizowany, poprzez przegrody zagadkowe i śmieczne, aż trafiają do nieba. I tu się cała

Właściwie symbolów czy parabol, czy alegoryj jest tu więcej. Autor-poeta zgeścił je, myślał sobie bardzo dużo i trudno mu nadażyć. Ale jedno jest jasne — co prawda, trzeba trochę znać zagadnienia. Anarchia i duch ładu wzajemnie się przeplatają i uzupełniają. Stanowisko Chestertona jest monizmem, nie dualizmem. Bóg stworzył Szatana, wiecznego huntuownika, i ten szatan może powiedzieć tak jak Mefisto w *Fauście*: Jestem czastką tej siły, która wciąż chce zleść, a jednak wciąż stwarza dobre. Czyli według znanego dowcipu: nie ma zleść, co by na dobre nie wyszło. Ale... ale... jest w Chestertonie także coś jakby rezerwat zła. W ostatnim akcie, gdy Pan Bóg siedzi sobie wśród swoich detektywów anielskich, występuje poeta buntu, prawdziwy anarchista, czerwonołowy Lucyfer i protestuje.

Po reszcie wyjaśnię chciałbym widza i słuchacza odesłać do książki, której tekst przerobiono a której tytuł opiewa: *Delegat anarchistów*. Prócz tego należy zaprzeć do świetnej książki Wacława Borowego o Chestertonie, gdzie przezręczyste wysłuchane są kręgi myśli tego wielkiego pisarza. Mnie — po syntetycznych rzutach Romana Kolonieckiego w poprzednim numerze *Pionu* — pozostało tylko wyudatnić linię dramatyczną sztuki. Jest ona przerobką zreczną i dość werną, jakkolwiek ramię snu niesłusznie powiększono i zrobiono z niej *happy end*. Przedstawienie po tej linii poszło, i właściwie z przedstawienia ją tutaj wysnułem. Jeżeli akcja gdzie słabnie lub tonie w mroczkach alegorii, to jest winą tekstu i Chestertona. W książce też nie jest lepiej. Ależ nie trzeba koniecznie wolać o całoch. Kto wychodzi z teatru z dąsem; nie rozumiem! — jest niewiedzący. A nierówny początek sztuki? Dla tych dwóch pierwszych obrazów choćby warto ją było wstawić. Oceniać autora według osiągniętych szczytów — ta maksyma powinna przyswiecać nie tylko krytykowi lecz i widzowi.

Prawda jest jednak, że w *Czwartku* — nie tylko w sztuce, ale i w powieści — czegoś brakuje a czegoś jest za dużo. Gdzieś tam może w kątku, w jakiejś świetnej fundacie, ukryty jest klucz do zagadek, ale nie wieleli się w życie sceniczne. Pełno detektywizmu, za mało anarchizmu. I nawet bomba jest ośmieszona — katula się ją jak pilkę. W żadnym z sześciu detektywów nie ma rozterki wewnętrznej, każdy jest tylko mistyfikatorem. Rozłam, dwiistość, dialektyka, czy jak to inaczej nazywać, byłby dopiero w Bogu, w Niedzieli, ale to jest już instancją nadludzka. Szkoła — bo wskutek tych braków siła, która wbrew wszystkiemu dąży „fatalnie” do ładu, nie uwspaniała się odpowiednio, nie otrzymuje satysfakcji.

Dekoracje Pronaszki w pierwszej części nastrojowe choć realistyczne, dalekie od „pronaszkizmu”, ku końcowi sztuki przechodzą w formizm, geometryzm, niebo wygląda jak dziecinna zabawka. Czy to właściwie? Kłopotliwe pytanie! Niekiedy re-

NOWE POEZJE

JERZY PUTRAMENT: *Droga leśna*. Wilno, 1938.

Trudno powiedzieć, żeby — mimo wysokiej kultury poetyckiej — *Droga leśna* była poważniejszym krokiem naprzód w zestawieniu z poprzednim zbiorkiem Putramenta *Wczoraj powróci*. Tamten tomik zawierał raczej zapowiedzi niż osiągnięcia, był mierzony i roił się od dysonansów treściowych i formalnych, ale kipiał w nim patos młodzieńczego buntu przeciw zastanemu światu i tętniła żywa energia poetycka, szukająca dla siebie nowych, oryginalnych form wypowiedzi. Obecnie ten poetycki rozmach osłabł. Wszystkie wiersze *Drogi leśnej* — poza czterema zupełnie niedanymi i zgola niepotrzebnymi w zbiorcu „groteskami” (*Bal, Wic, Defilada, Zwycięzca*) — cechuje niewątpliwa kultura poetycka, ale ów polor zewnętrzny osiąga poeta po prostu przez zrezygnowanie ze śmielczych poszukiwań formalnych; nie jest on zdobywcą Putramenta, ale przyswojeniem sobie kształtu wypowiedzi poetyckiej, która stała się powszechną własnością pokolenia kształconego na Staffie i Skemandyriach. Widocznie tak często manifestującej się w *Drodze leśnej* niepokój metafizyczny (*Przedostatnie, Nim pójdę...*) i poczucie bezsilności człowieka — choćby najdzielniejszego — wobec ciemnej nierozumnej przemocy losu (*Pieśń*) chciało znaleźć „ukojenie”, uregulować się i uformować w nową postawę poetycką, zastępującą dawny buntowniczy patos, zawręcz się w klamry tradycyjnych form poetyckich. I właśnie w oym potoczystym, opanoanym stylu, w oym zewnętrzny „klasycyzm” wyraził się najsilniej jakiś niedowład (może — przejściowy tylko) talentu, szukający opar-

cia nie we własnej inspiracji twórczej, a w czysto zewnętrznej doskonałości technicznej.

ANTONI KASPROWICZ: *Chwasty płonne*. Łódź, 1937.

A hen od leśnych rośnych łóz wychodzi blada wieczornica, pod baldachimem polnych grusz przeżyc snu z srebrnego lnu kieszyc.

Ładna strofa, prawda? Szkoda tylko, że już Tetmajer pisał coś podobnego. — Gorsza sprawa, że ta strofa nie jest bynajmniej wyjątkiem. Czytajcie wiersze Kasprowicza, raz po raz doznajemy wrażenia, że już nieraz spotykaliśmy się z podobnymi zwrotami, że znajdujemy w nich rzeczy dobrze, nam skąd inąd znane. Najgorzej zaś jest to, że Kasprowicz przejmując nawet nie cudzą postawę poetycką, ale po prostu cudzy sposób wyrażania się. To właśnie jest przyczyna, że większość jego wierszy — to poetyckie czeki bez pokrycia.

Poetycki komunal, najbanalniej pojęta „ładność”, teatralny patos przyłaczają zupełnie wzruszenia liryczne, z których mają narodzić się wiersze. Toteż zamiast skunkretyzowanych wizerunków poetyckich otrzymujemy przeważnie tylko zestawienia „poetycznych” słów, rozkładające się w czczą gadaninę.

Wpływy obce tak ciężką na Kasprowiczu, że nawet oryginalne pomysły (*Mistrz Jan, Bledny rybak*) wyraża on cudzym językiem poetyckim, płacąc za czysto zewnętrzną „ładność” swej poezji zagubieniem własnej osobowości pisarskiej. A to właśnie jest najcięższym grzechem poety.

STEFAN LICHANSKI

WYSPIAŃSKI W ŁODZI

PRZEGLĄD PRASY



SCENA Z „NOCY LISTOPADOWEJ” W ŁÓDZKIM TEATRZE POLSKIM

W ramach uroczystości, jakie odbyły się w Łodzi z racji 30-lecia śmierci Wyspiańskiego, łódzki Teatr Polski wystawił *Noc listopadową*. Zrywały się oklaski, gdy scena urzekała feerią widowiska; pałał entuzjazm serc, odnajdujących wspólne bicie w wielkości porwy i potężnym patosie uczuciowości. Dali się też słyszeć głosy krytyczne, że po tylu wnikliwych analizach powstania listopadowego — nadto metaforą tracą niektóre sceny. Ale jak to już słusznie zauważono, Wyspiański był raczej malarzem, niż twórcą charakterów; raczej symbolistą, niż psychologiem, raczej inscenizatorem dziejów, niż ich analitykiem.

Jeśli podejść do Wyspiańskiego od tej własnej strony, otwiera się przed śmiałkiem, uwzględniającym wszelkie zdobycze współczesnego teatru, — przestrzeń niewypielnioną jeszcze. Jak wiadomo, za życia Wyspiańskiego jego pomysły właściwie nie znalazły realizacji na miarę wizji genialnego dramaturga i poety. Świadom był tego, akcentując, że widzi swoje dramaty „w duszy teatrze”. Dawna plaska scena trywializowała Wyspiańskiego, sprawiała zdarczenia do jednego poziomu, odejmowała postaciami bogów i symbolom konieczny wobec ludzi zryw dystans... Miałyby zrealizować ambicje Wyspiańskiego teatr monumentalny w stylu Leona Schillera?

Pokusila się o to inscenizacja łódzka — i dlatego warto o niej napisać słów kilka. Zdawaloby się, rzecz nie do osiągnięcia... Ukazać pełną szumę noc listopadową, tracącą przelotami Nik i gorącą od oddechów bohaterstwa? Na szczupłej scenie łódzkiego teatru przedstawić skłębioną, zrewoltowaną

ulicę? Rozchylić mroki orkusowych podziemi i nie utracić żadnego światła z tęczy apoteozy końcowej? Wreszcie, cały epos Wyspiańskiego wtłoczyć w ramy jednego, nieprzyludnego wieczoru teatralnego?

Te trudności, łącząc udatnie wizjonerstwo ze światem realiów, pokonała specjalna konstrukcja przestrzeni scenicznej. „Wygląd sceny — pisał Wyspiański — jest decydującym czynnikiem w konstrukcji budowy dramatu samego”. W tym wypadku „wygląd sceny” wiązał nadprzyrodzone z ludzkim; wśród kształtów prostych i celowych, wśród schodów, wzniesień i pochylni niejako wielokrotnie się samo życie.

Akcje ogniokowały i spręgały zasadnicze aluzje nastrojowe, którymi były: kolumnada Łazienek, jesienne drzewo, przepływające jak gdyby w potoku wichury, cały księżycowy pomnik Sobieskiego, załom muru... Jarocki pojął swoją rolę dekoratora bardzo dyskretnie jako uzupełnienie konstrukcji scenicznej, napomknienie realiów akcji i sugestie nastroju, którą już przejmowała i potęgowała dalej muzyka Lucjana Marczewskiego.

Tyrady poetyckie bohaterów, chorus — bez zmian, potraktowane tradycyjnie. Słowo było błyskawicami natchnienia, ucieleśniało się w gesty, w poruszenia tłumów. Te zaś były bardzo umiejętnie rozmieszczone, wplecione w ład konstrukcji scenicznej, grające barwami, całą kolekcją kostiumowych możliwości, falujące w ogólnym nurcie akcji. Sceny zbiorowe — zryw końcowy w Szkole Podchorążych, miotająca się w rewolucyjnych konwulsjach ulica — wypadły wprost znakomicie. Cały teatr zdawał się bić jednym tętnem, poruszać się w zgodnym rytmie, nieruchomieć w monumentalnych obrazach.

Monumentalność nadawała całemu przedstawieniu wyraz zasadniczy. Dlatego i pomiędzy poszczególnymi aktorami trudno zrobić rozróżnienie. Kto grał dobrze, kto najlepiej? Wszystkie wysiłki zestrzeliły się w dzieło kolektywne, tworząc najwyższe osiągnięcie w tegorocznym dorobku teatralnym Łodzi.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Odpowiedzi Redakcji

- J. P., Warszawa — Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy.
- „Giełtke 334” — Wiersze nie będą drukowane.
- M. K. — Nie skorzystamy.
- Godło „Na przekór losowi” — Nowela *Stary grabarz* — do zwrotu.
- Godło „Złociste loki” — Nowela do zwrotu.
- Godło „Wyżej sztandar” — Nowela do zwrotu. Rękopisy wysłamy po otrzymaniu znaczków pocztowych.
- Godło „Ananke” — Komunikat konkursowy, zawierający m. in. termin ostatecznego rozstrzygnięcia, podamy w nrze gwiazdkowym.
- Godło „Salwuk Marceli” — Nowela do zwrotu.

TEATR ATENEUM



JADWIGA ANDRZEJEWSKA jako „Panna Maliczewska”

Głośny artykuł prof. Tadeusza Pruszkowskiego w *Gazecie Polskiej (Porażka złośliwych malkontentów, dn. 28 listopada 1937)*, odbił się szerokim echem w opinii publicznej. Stało się bowiem tak, że wbrew krzykliwym głosom zawodowych opozycjonistów i krytyków, pawilon polski na wystawie paryskiej (wraz z pawilonom polskim i fińskim) jury zaliczyło do grupy najpiękniejszych dzieł architektury wystawowej. „Milo mi stwierdzić — pisze prof. Pruszkowski — że mylił się po trosze pan Cat-Mackiewicz, nazywając w swym artykule bezczelnością mój dodatni sąd o polskim pawilonie i polskim udziale w Wystawie”. Zaiste, opinia jury to nielawy orzech do zgryzienia dla „krytyków”; teraz więc biorą oni wodę w usta albo wykręcają się jak mogą. W *Prosto z mostu* (nr 55) czytamy opinię, iż od wartości artystycznej pawilonu ważniejsza jest „bodaj” jego wartość propagandowa. Otóż nie wchodząc w akademicką dyskusję, co lepsze jako propaganda: rzeczy wielkie rozmiarami, „monumentalne” a przy bliższym poznaniu budzące niesmak, czy też rzeczy mniej imponujące „na oko”, a za to wykonane z poczuciem artystycznym i smakiem — chcemy tylko ze swojej strony zaznaczyć, że pp. opozycjoniści „bodaj” zgola inaczej śpiewali przed orzeczeniem jury i że „bodaj” jakoś przeoczyli walory „skromniutkiego pawilonu polskiego”, który w oczach francuskich znawców okazał się jednym z najpiękniejszych.

Ale co nam znawcy! P. Karol Zbyszewski alias „ryżowa szcztoka”, felietonista *Prosto z mostu*, powiada: „Fachowa krytyka to takie antidotum: przysgasa rozuchwalonych powodzenie, podnosi na duchu zapoznane wielkości; „Normalny (?) człowiek jest często wręcz przeciwnego zdania niż fachowy krytyk”. Zgodnie z tą swiątłą maksymą cenionego motocyklisty, *Prosto z mostu* cytując w swym przeglądzie prasy opinię o występach baletu polskiego w Paryżu... *JKodziennego*, Kazimierz Wierzyński pisze w *Gazecie Polskiej* o entuzjazmie, z jakim przyjął Paryż występy polskich tancerzy; Michał Kondracki w *Kurjerze Poranym* ditto — ale dla *Prosto z mostu* istnieje w tej sprawie tylko aurytarywna opinia światłego w rzeczach sztuki Ikaca, Ikacyka, Ikacunia... „Sznując się kucharzka jest bestronniczej” — powiada *ryżowa szcztoka* i „bodaj” że ma rację.

W nowym numerze *Marcholta* Karol Irzykowski ogłasza ciekawe studium *Z zagadnień charakterologii (rozdział większej całości)*. Studium to przynosi wiele materiału sprawozdawczego i sporo oryginalnych spostrzeżeń. Na specjalną uwagę zasługuje analiza i krytyka ideału etycznego, popularnego pod nazwą „wierność samemu sobie”. „Chce się być samym sobą, oczywiście sobą w najlepszej formie, bez przypadkowych naleciałości, bez skaz i ran, które nam zadało życie... Czy ten ideał własnego ja nie jest utopią? Gdziekolwiek by znaleźć? Czy w błędach, które się powtarzają przez wiele lat, czy w wpatliwych zaletach, i jak te zalezy zsumować? W mrokach podświadomości? Ależ świadomości szukaj-

ca w podświadomości znajdzie tylko to co sama podzuci. Co zaś będzie, jeżeli kto, wzięwszy do wskazania na serio, odkryje, że jest w gruncie rzeczy zły, leniwy, nierozsądny itd. — czy ma to aprobować a nie odrzucić?... Nawet gdyby można było odkryć własne ja, dlaczego by się musiało je naśladować, rozwijać, robić sobie z niego rolę na całe życie?... Ze stanowiska moralistycznego poznać swoje ja to znaczy po prostu poznać swoje wady i zalety, pierwsze zmniejszać, drugie potęgować, czyli wychowywać siebie samego... „Gdzieś to czytałem: że „ja” jest hipoteza. Jeżeli, to najgenialniejsza. Ale ten, kto to wyjawil, nie będzie uwolniony od podejrzenia i złorzeczenia. Próbkę można czytać u Brzozowskiego”...

Poza tym znajdujemy w nowym *Marcholcie* wiersz K. Wierzyńskiego, rozprawę prof. Pignonia *Zreby nowej Polski w publicystyce wcielkiej emigracji*, pracę K. Wyki: „*Paluba*” a „*Prochno*” — ciekawą jako próba ujęcia dynamiki przemian historyczno-literackich, wreszcie drobniejsze przyczynki Kolażkowskiego. Wśród nich cenny jest zwłaszcza artykuł napisany „z okazji dwu ostatnich książek Suchodolskiego”, polemizujący m. in. z artykułami z tej samej „okazji” ogłoszonymi w *Pionie*.

Wiadomości Literackie wydały numer specjalny (50), poświęcony pamięci Złigniewa Uniłowskiego. Na hold ten złożony ceniom utalentowanego pisarza zostały się artykuły krytyczne i wspomnienia kilkunastu autorów: Nowaczyńskiego i Dołęgi-Mostowicza, Iwaszkiewicza i Wittlina, Rogowicza i Hulki-Laskowskiego, Krzywickiej i Wandu Meleer, Parandowskiego i Regoza, Broniewskiego, Pomirowskiego, Breitera, Gombrowicza, Miłosza, Brezy, St. R. Dobrowskiego, Karpisńskiego... Wszyscy piszą z wielkim uznaniem o pisarzu i z wielką serdecznością o człowieku. Wszyscy akcentują niezwykle tego fenomenowi twórczego, jakim był Uniłowski, i potworny bezsens jego śmierci.

A przecież brzmi jakiś ton fałszywy w tym wszystkim. *Wiadomości* poświęcają numer autorowi *Duodziestu lat życia* niezłomnym Żeromskiemu, Czeczowiczowi, Perzyskiemu, słowem jak gdyby — *klasykowi literatury*, podczas gdy twórczość Uniłowskiego jest jednak i już na zawsze, niestety, pozostała tylko piękną zapowiedzią. Toteż w rezultacie wszyscy współpracownicy tego numeru piszą jedno i to samo i raczej siebie charakteryzują niż zmarłego pisarza. Ich stosunek do Uniłowskiego jest nieco podejrzany, jak gdyby pozbawiony zainteresowania. Czytającemu niektóre z tych wspomnień wydaje się jak gdyby mieszaczyły literata, zamknięci w swym papierowym świecie i cierpiący na brak świeżego powietrza, upalają się w lekturze *Wspólno pokroju* i *Duodziestu lat życia* tym co się nazywa w kołach inteligentnych „życiemi” surową konkretnością i jaskrawością realiów. Powodzenie Uniłowskiego jest z tej samej kategorii zjawisk kulturalno-społecznych, co powodzenie Céline’a — przy całej indywidualnej odrębności tych dwóch pisarzy.

KSIĄŻKI NADEŚLANE

- ANDRZEJ EKER: *Melodia chwili*, poezje, Lwów 1937. A. Krawczyński. — *Słoneczny świątek*, bajki i wiersze dla młodzieży. Tamże. — *O święteczku muzykancie*, bajki dla dzieci. Tamże. — *Mama śpiewa kołysankę*, bajki dla dzieci. Tamże.
- C. E. SCGGINS: *Dom ciemności*, powieść. Przeł. J. Sujkowska. Warszawa 1937. Wyd. M. Arcta.
- JAN KAROL WENDE: *Drogi człowiecze*, powieść. Warszawa 1938. F. Hoesiak.
- STANISŁAW POBÓG: *Urzeczeni*, powieść. Warszawa 1937. Nakł. Księgarni F. Hoesiaka.
- ANDRÉ SILLON: *Jego ekscelencja ogłada świat*, powieść. Przekład Zygmunta Wita. Warszawa 1938. Nakładem Księgarni F. Hoesiaka.
- M. J.: *O nową ordynację wyborczą*, Warszawa 1937. Nakład i skład główny: Drukarnia Rolnicza, Warszawa.
- CZESŁAWA SOBIESIAK-KAMIŃSKA: *Kuśnierz żyto*, powieść. Warszawa 1938. Wyd. J. Przeworskiego.
- JÓZEF JASIŃSKI: *Rola spółdzielczości w rozbudowie gospodarstwa narodowego w Polsce*, Warszawa 1937. „Społem” Związek Spółdzielni Spoż. R. P.
- BIBLIOTEKAZKA AKCJI KATOLICZKIEJ
Wydawnictwo Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu
Nr 69 — EUGENIUSZ MYCZKA: *Swoistość struktury społecznej i ekonomicznej Polski oraz możliwość jej reformy*.
Nr 70 — Ks. JAN STEPA: *Wpływ nauki Kościoła na kształtowanie się myśli społecznej*.
Nr 71 — IGNACY CZUMA: *Sprawiedliwość i miłość jako zasady chrześcijańskiego ustroju społecznego*.
Nr 72 — Dr HENRYK DEMBINSKI: *Jednostka i społeczeństwo*.
Nr 73 — LEON CAŁKA: *Granice polityki społecznej*.
Nr 74 — Ks. dr ANTONI ROSZKOWSKI: *Korporacjonizm*.
Nr 75 — Dr CZESŁAW STRZESZEWSKI: *Współczesne tendencje rozwojowe gospodarstwa światowego i ich znaczenie dla realizacji nowego ustroju*.
Nr 76 — Prof. dr LUDWIK GÓRSKI: *Własność prywatna, jej znaczenie i granice*.
Nr 77 — O. STANISŁAW WAWRYN T. J.: *Praca i kapitał w katolickiej myśli społecznej*.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w teście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz WYDAWCA: Tow. Wyd. „Droga” Sp. z o. o.